

W SŁOŃCE

TREŚĆ NUMERU:

- 1) Park w Kazimierzu (wiersz) — J. Gąsior; 2) W fabryce amunicji (wiersz) — W. Choiński; 3) Bezląd (wiersz) — M. Doleżko; 4) O poezji — J. Strachówna; 5) Z tragicznego ładu — dialogi — K. Kokosiński; 6) Na aktualną nutę — S. Skoczylas; 7) Muza barbarzyństwa — C. Łagoda; 8) Rekord — W. Choiński; 9) Spocznij! Wykonać! — e-S e-S; 10) Recenzje. Wiadomości; 11) Odpowiadamy...

Nr. 1(2)

1936.

W SŁOŃCE

Czasopismo młodzieży szkół lubelskich.

IGNACY GAŚSIOR.

PARK W KAZIMIERZU

*Świątynia lip starych i okwitłych sadów,
dostojny poszum świerków,
domek w zacieniu u źródeł, skąd strumień szmerliwym opadem
w zapłotach drzew łamie wód kryształ:
a ty nie przyjdiesz, nie staniesz nad cichą krynicą Esterki —
napróżno wieczór nowy kładł będzie najłodszą z cisz tam.*

*Dni kiedyś w przeszłość zaklętych nie zbudzi dziś odplusk wiślany,
— Wiślana, jak niegdyś fal przyspiew u białych brzegów rozpieszca.
Jedna jest droga od świtów: dąć w żagle i cicho przygasać —
nam nurtu, co wczoraj odpłynął, nie zbudzi u wiosel wiew wieszczy.*

*Za tą przestrzenią do Ciebie, do Twoich dni baśniq owianych
Spalonych wieczorów tarcze opływa zastygła toń czasu.*

*Wśród ścieżyn szukam Twych śladów w świątyni lip starych i świerków,
gdzie znów w zadumie wieczoru wiatr liści opływa klawisze:
może w tym sennym poszumie Twe słowa zbudzone zastyszę
i staniesz samotny—jak wtedy—nad cichą krynicą Esterki.
Wyptyną dawne cienie Judymów i szklanych domów,
by łączyć nowe przęsta w tęczowy wieków pomost.*

W. CHOIŃSKI.

W FABRYCE AMUNICJI

*Nam nie trzeba metafor strzelistych, jak gotyk,
Pachnących falą zboża po rześistym deszczu —
Nam tylko w piersiach huczą sygnały złowieszcze,
Zwołujące do mrocznej, złowrogiej roboty.*

*Kujemy ostre rytmy na stracenie światu.
Przebłyśki śliskich ramion dudnią głucho w hali:
Jak pięścią grany chorał pieśń nasza się pali,
Śpiewając — narodziny nowego granatu.*

*Nam nie trzeba poezji, bo prawdę już wiemy
I tą okropną wiedzą liczymy dni przyszłe:
Włączeni czyimś mózgiem w sprawy od nas wyższe
Sami kiedyś do hełmów też mózgiem rzygniemy.*

*Z bloków stali wydarte rodzin naszych życie
Zamorduje gdzieś ojców innych jakichś dzieci.
Nasza krwawa sumienność pożogi roznieci,
W serca nas bijąc tłumów przeklętym zachwytem.*

*Słuchajcie! Zamałujcie hal czerwoną cegłą
I zmieńcie barwę ognia, niech oczu nie targa,
Bo inaczej, zakrzepła w zaciśniętych wargach,
Krew nam z pod młotów tryśnie w ulice wyległe!*

M. DOLEŻKO.

B E Z W Ł A D

*Gdy niecierpliwe bicie zegarów
przybliży krańce dążeń,
w nieznanym jutrze — niezmiennie szarych
bezsilne życie krąży...*

*Senne i smutne są dni moje i noce
i życie jest śmieszne — jak ostatnia moda
— rozlane w jakiś nieuchwytny odcień
na mglisto — szarych bezbarwnych zachodach.*

*Jakieś dalekie i niepewne światła
rozedrgane w koło mgielnie i tęczo-
wo,
— myśli bezradne jak dziecinny płacz
— zmęczone w pustych słowach.*

*Z pragnień i dążeń
została tylko tęsknota
i bezwład mnie omotał
na mrocznym bezdrożu...*

*Na wielkie, jasne horyzonty
odległe w koło równią bez walk
kładzie się jakaś noc — czarność śpiąca
— przytulna jak katafalk...*

*J w duszy mojej szerokiej
— jak pola wypchnięte za miasto,
smutnej jak niebo o zmroku
i... chyba pustej*

*kochanic dziwne
— tęsknoty dalekie i bez wypowiedzeń
a ręce bezsilne
zwiśte nad życiem — prostem jak miedza.*

O POEZJI

(Wywiad z J. Czechowiczem)

Udajemy się w krainę liryki.

— Bogiem moim jest wyobraźnia. Uważam, że elementy poezji posiadają swoją wielkość tylko w pewnym układzie wyobraźni. Jestem wrogiem realizmu. Uznaje przede wszystkim wartość aluzji. Ważność tego, co odczuwać można między wierszami. Twórczość z wyobraźni nie jest możliwa w realizmie. Ścisłość realizmu naturalna jest w nauce, której istotą są definicje. Poezja, której treść przekształca indywidualność poety, ścisłości tej zawierać nie może.

Bardzo ważną i potrzebną rzeczą dla poezji jest symbolizm, pewna mitologizacja. Boimy się używać tego wyrażenia, ale jeśli spojrzymy na całą wielką przeszłość, to pełna jest ona symbolizmu. W powrocie do symbolizmu widzimy piękne drogi rozwojowe poezji polskiej. Do tych samych wniosków doszedł Miłosz, a właściwie grupa wileńska, którą przy podobieństwie założeń cechują różnice w natężeniu talentów.

— Czy można mówić o naszej poezji jako „fermencie” europejskim?

— Uważam, iż poziom współczesnej poezji polskiej jest duży. Nie jesteśmy w tyle za poezją euro-

pejską, a wielkie znaki na niebie i na ziemi zapowiadają, że idziemy ku lepszemu. Zestawienie poezji polskiej z poezją Francji, ojczyzny wielu prądów i prądzików, wypada dodatnio. Nasze stosunki poetyckie wykazują najwięcej podobieństwa z Anglią, gdzie istnieje coś w rodzaju „Skamandra” i grupy *contre* — skamandrytów.

Przechodzimy do naszych stosunków poetyckich.

Jeśli chodzi o Skamandra dzisiaj, to sądzę, że jedynymi jego podporami są Tuwim i Iwaszkiewicz. Talentem najbardziej bezpośrednim jest Tuwim, ale zaczyna się powtarzać. Dodać również muszę, że czcicielem talentu bezpośredniego nie jestem. Zdaje mi się, że historyczna rola „Skamandra” jest skończona.

Stosunki w poezji polskiej cechuje walka Skamandra z awangardą. Sympatja moja jest raczej po stronie awangardy, ale nie w stu procentach. Awangarda jest bowiem kierunkiem nawskroś formalistycznym. Kwestja formalizmu jest bezwzględnie równie ważna jak i inne kwestje w poezji, ale nie jedyna, jak uznała to awangarda krakowska. To mo-

Z tragicznego ładu—dialogi

(FANTAZJA)

— Przedewszystkiem będę szczery, aż do katastrofy. Nauczę cię rzucać odległe przełęczę pomiędzy ludźmi.

— Proszę, nauczaj. Tylko nie musisz się unosić, bo społeczeństwo, które cię słucha i obserwuje, posądzi o reklamę miazmatów wschodnich.

— Jesteś pierwszą kobietą odważną: Przekreśliłaś naszą liryczną przeszłość w imię różnicy światopoglądów. Należysz do pokolenia Judymów. Rozmowa nasza potoczy się *wbrew obyczajom*. To nam wolno,

W naturze naszej leży tworzenie i rozwalanie odwiecznych świętości. Nadchodząca epoka ma obok innych i to zadanie: burzyć starzyzną.

Polska.

Wsie drogom rzucone bezładnie i dziko.

Społeczeństwo tu — to jakiejś wielkie bagnisko, które leży w oparach bezładu. Widziałem ludzi rąbiących pniaki, którzy dopiero nocą warzyli nad rudem ogniskiem nieobierane kartofle. Nie rozma-

e zdanie jest powodem, dla którego nie wstąpiłem do pracy w „Zwrotnicy”. Muszę podkreślić, że zaśluga Peipera w sprawie teorii awangardowej uważam za ogromne.

Nie jestem reprezentantem awangardy jak i Adam Ważyk. Ustabilizowałem swój program pracując w odosobnieniu.

Jeśli chodzi o młode pokolenie poetyckie, to uważam, że najbardziej obecnie wartościowym przedstawicielem jest Miłosz. Twórczość jego jest pełna życiowej dynamiki i o ile nie stanie się z nim coś złego, jak z Lechoniem, rokuje mu dużą przyszłość.

K r y t y k a.

Mówiłem kiedyś o moich żalach do krytyki. Obwiniam ją o brak zainteresowania nową poezją. Taki n. p. Lrzykowski toczy od 18 lat bój z Witkiewiczem o teorie, które już dziś trącą myszką. Krytyce brak aktualizmu. Pewne nadzieje na przyszłość żywię w stosunku do młodych krytyków formalistów wileńskich. Również w Poznaniu dookoła K. Troczyńskiego tworzy się wartościowy ośrodek krytyki.

Młodzi poeci zasadniczo za dużo czasu poświęcają studjom nad samą poezją, za mało pracy widzę nad teorią filozofii. Pozatem ten nadmiar czytania odbija się w reminiscencjach, które choć nie są rozmyślnym naśladownictwem obniżają poziom poezji. Sądzę, że poeci powinni mieć ambicje w kierunku poznania i tworzenia teorii.

Praca nad teorią rozszerza samowiedzę twórczą, która pozwala na pełniejsze oddanie całokształ-

tu przeżycia poetyckiego. (Teoria bez przeżyć i przeżycia bez teorii nie stworzą niczego wartościowego). Oceniając grupy poetyckie prowincji postawić muszę grupę wileńską na czele. Ciekawy narybek poetycki wychowuje także „Kuznia Młodych” (Michalski). Roboty zaczynane w szkole mogą dać duży pożytek.

P i s m a.

— Największą wadą wszystkich pism literackich jest brak pieniędzy. W takich warunkach kwestia poziomu jest bardzo trudną. Przez długi czas „Wiadomości Literackie” były bezkonkurencyjne. „Pion” i „Prosto z Mostu” stworzone dla przeciwwagi. Mimo mojej sympatii dla „Pionu” muszę stwierdzić, że stoi on niżej niż „Prosto z Mostu”. Pismom literackim lewicy nie rokuje przyszłości. Zaprzęgnięcie pegaza poezji staje się zawsze dla niego krzywdą. Jedynym chyba warunkiem utworzenia poezji lewicowej jest Jasińskiego „Słowo o Jakubie Szeli”. Zdaje mi się, że tendencje polityczno-społeczne oddziałują na talent ujemnie. Powstało tu pewne pomieszanie pojęć: bowiem taktyki politycznej nie można pogodzić z powołaniem pisarza. Intencje społeczne powinny dążyć do tego, by oddziaływały wybitnym poziomem, a nie wyraźną tendencją, inaczej powstaje bezwartościowa publicystyka rymowana.

Zresztą zadaniem poezji jest sięgnięcie do wartości niezniszczalnych, zaś takie, czy inne tendencje stają się po pewnym czasie bezwartościowe.

— Napewno społeczeństwo tego domaga się...

— Gdybym był dyktatorem kulturalnym, upaństwowiłbym czytelnik, a dla ludności zaprowadził-

wiali. Kto, gdzie siedział walił się w igliwie. Byli to już nie ludzie, ale kilkudziesięcioletnie ruiny. Marne życie. Stąd może inteligent chłopski żyje jakimś wewnętrznym smutkiem. Nie jest to, ta słowiańska, beżużyteczna żalność, ale głębsza—krzywdą.

— Zrzuć maskę cierpiętnika. Wieś się nie zmienia. To znaczy nie zmienia się społeczeństwo, bo widać taki jego obyczaj.

— Obyczaj dreptania w miejscu...

W reportażach gazet czyta się: „Ludzie młodzi, silni i czynni opuszczają miasto wysuwając niespotykaną koncepcję—urbanizację wsi. Różnice między miastem, a prowincją niwelują się. Pysnie wyglądają ci nowi ludzie o ciałach odkrytych, a spalonych

jak cegła. Wznoszą za sobą jakieś odległe, nieistniejące krajobrazy. Już nie rośnie sine listowie ponad płotki, ponad dymiące zagrody. Dawne ugory ze śladami wojen ustępują. Rzucają patos idącego rozmachu pracy: zsozy, zsozy... Obraస్తają je domy czerwone jak pożary. Wiatry pulsują przez Polskę i uderzają w miliony proletariatu pieśni zdobywców. Wygląda to ładnie, kiedy w palącej się ruinie nieba kwitną całe maszty takich nowych wsi.

Ale młodym śni się dalsza, odległa i nowa ojczyzna”.

Kiedyś zorza zachodnia była czerwona jak transparent. Wojna była wypowiedziana całej przeszłości. Ale w całej Polsce nie drżały teraz szybki ani w kościołach, ani w chatach. Ej, w całej Polsce

bym kontrolne książeczki przymusowego czytania rzeczy wartościowych, które gwarantowałyby świadomość literacką społeczeństwa!

Wspominam o Lublinie.

— Lublin uważam za środowisko wybitne, które ma wszelkie dane do odegrania większej roli niż dotychczas. Tendencje społeczne poezji lubelskiej reprezentuje najwybitniej Józef Łobodowski. Martwi mnie również, że Lublin jest ośrodkiem tak mało prozatorskim.

— Na „deser“ pozwoli pan coś wspomnieć o tem, jaką rolę w pańskiej twórczości odegrała miłość, no i wogóle...

— Miłość nie była u mnie przeżyciem silnym.

Pisać zacząłem jako 12-letni chłopiec. We własnym teatrzyku marionetek wystawiałem ponure dramaty, z których jeden był plagiatowskim skrótem „Judasza z Kariotu“. Nieco później zebrałem ogromny materiał do powieści, której akcja toczy się miała w Hiszpanji. Powieść nie została nigdy napisana i z czasem ślad po niej całkowicie zaginął.

Pierwsze liryki zacząłem pisać w seminarjum. No serjo pomyślałem o pisaniu w 24-tym roku życia. W trzy lata później wydałem pierwszą książkę.

J. Strachówna. 493.

kipiały szeroko rozbudowane kanały. Dzieci nachodziły, kiedy leciały białe płótna „Mew“ nad zieloną wodą. Brzegi, jak korale. Niedaleko ciągnęły się stawy, zachownica kwadratów, prostokątów. No, i ogromne szkoły, szkoły—tyle szkół... Sine wstążeczki szyn opięły Polskę: blade młyny, fabryki. Wyglądało to tak: Każda rzeka uregulowana płynęła ostro. Wtedy w najbliższej okolicy biło się tamy. Chłop lubił pracować w słońcu przy wodzie, która płynęła jak dym, zwoziła z lasów całej Polski materiał. W wyciętych obszarach roilo się od drutów migoczących niby srebro. Uczucie artysty zbudowało je tak, że były to potężne harfy. Wiatr, w nie bijąc, grał melodję odkrywców. Przy ich wtórze wspinały się gromady młodych na stare budowle i wkręcały smagłe kominy. W zachodzącem słońcu błyszczały ich odkryte piersi jak puklerze — tej muzyki wolano słuchać, niż szumu borów. Tuż koło takiej fabryki rosły świetlice. W olbrzymich nawach mieściło się dużo ludzi. W nocy nie było dziko, bo olbrzymie reflektory bieliły krajobraz. Takie osiedla, które łączyły szosy, albo rzeki skupiały się w rzędy różowych, elektrycznych świetelek. W czerwcu nie puszczano wianków, ale atrakcją było ujrzeć na kanale olbrzymi żaglowiec. Były na nim światła różnokolorowe. Szły więc w tę noc świętojańską takie olbrzymie bukiety.

✓ Na aktualną nutę.

Kwestja zrozumienia młodzieży przez starsze społeczeństwo, szczególnie przez pedagogów, uszanowanie jej radykalizmu i samodzielności, zdaje się być sprawą przetrzmiałą i rozstrzygniętą na korzyść młodzieży. T. zw. „szlachetny duch“ ożywiający współczesną pedagogikę, uzyskał swoje blaski właśnie przez owo zrozumienie młodzieży, oraz serdeczny, przyjacielski stosunek do jej poczynań.

Nie brak i teraz podniosłych chwil w szkole gdzie t. zw. „radykalizm“ młodzieży podnoszony bywa do ideału wychowawczego.

A jednak w częstych rozmowach młodzieży różnych szkół całego okręgu lubelskiego na rozmaitych obozach i zjazdach, pocieszano się nawzajem, że przynajmniej obniżanie stopni „ze sprawowania“ za „radykalizm“ nie jest wypadkiem odosobnionym, ale objawem ogólnym. Wzdychaliśmy wtedy wspólnie za prawdziwą samodzielnością w zwartej grupie młodzieży, tryskającej młodem, własnem życiem.

Tak to fakty z życia szkolnego i te westchnienia każą nam powrócić do dawnej, ale znów aktualnej sprawy samodzielności młodzieży w budowaniu

chać, niż szumu borów. Tuż koło takiej fabryki rosły świetlice. W olbrzymich nawach mieściło się dużo ludzi. W nocy nie było dziko, bo olbrzymie reflektory bieliły krajobraz. Takie osiedla, które łączyły szosy, albo rzeki skupiały się w rzędy różowych, elektrycznych świetelek. W czerwcu nie puszczano wianków, ale atrakcją było ujrzeć na kanale olbrzymi żaglowiec. Były na nim światła różnokolorowe. Szły więc w tę noc świętojańską takie olbrzymie bukiety.

Daleko leciała łuna pożarów—to wypalali młodzi resztki wsi... Polska stawała się niepodobna do żadnego, z istniejących państw, narodów“.

— Teraz rozumiem twój obyczaj. Idealizujesz tylko swoje państwo—Polskę—a więc uniosłeś się.

K. Kokosiński, gimn. 494.

światopoglądu i w kulturalno-artystycznych poczynaniach. Uwzględniana w założeniu w szkole samodzielność staje się coraz bardziej sprawą względną, następują niemiłe konsekwencje, a rozgoryczenie i żal pograżają młodzież w tępą apatię.

Zaspiewajmy więc na aktualną nutę.

Za podstawę służą fakty i doznania z terenu szkolnego, większości młodzieży znane, obecnie nasświetlmy je z naszego stanowiska.

Dalecy jesteśmy od apoteozowania siebie i naszych poczyniń, nie mniej chcemy domagać się zrozumienia i innego ustosunkowania się, gdyż zdaje się większość konfliktów wynika z wzajemnego nieporozumienia.

* * *

T. zw. „radykalizm”.

Najczęstszym powodem konfliktów bywa ocena radykalizmu młodzieży jako warcholstwa, pozbawionego swej rzeczowej treści. Charakterystyczny i nieustanny bunt młodzieży przeciw istniejącemu porządkowi — istotnie — niezawsze wynika z pełnej świadomości istniejącego zła, rodzi się w sferze wyczuć i przeczuć, jest wynikiem nadmiaru sił wystarczających, by stworzyć nowy porządek, a przejawia się w sposób wysoce gwałtowny i bezkompromisowy. Dopiero stopniowo następuje uzasadnienie tego wybuchu wyszukiwaniem konkretnych dowodów zła i radykalizm staje się świadomym i twórczym.

Szczególnie gdy na drodze dociekań światopoglądowych stanie oportunizm w postaci zakazów i cenzury, wybuchowości i uczuciowości przeżyć urasta do ostatecznych granic. Następuje gorączkowe poszukiwanie sformułowanego uzasadnienia palących właśnie przeżyć, by po momencie: krzepnięcia radykalnej treści przejawiać swoją nieustępliwą dążność i rzeczowość. Wszelkie zarzuty skierowane przeciw radykalizmowi młodzieży rozbijają się o bezsporny fakt, że radykalizm jest dźwignią zainteresowań i wewnętrznych przeżyć, wzbogacających osobowość człowieka.

Przeciwnie, zbyt ni lojalizm powoduje narodziny kadry karierowiczów.

Istniejące twierdzenie, że

„kto nie był w młodości socjalistą, będzie na starość szubrawcem”

może mieć swoje duże uzasadnienie.

Radykalizm oprócz dążności „naprzód” i zgłębiania żywotnych spraw, cechuje jeszcze uczciwość i niezakłamanie. Łatwo go odróżnić od warcholstwa, po gotowości podjęcia głoszonych hasel.

Dowodów w tym względzie wystarczy poszukać w obserwacji życia szkolnego.

Tragedją radykalnej młodzieży bywa moment, gdy zbyt zaskorupiała w poczuciu swego autorytetu wychowawca, oprócz nielicznych argumentów rzeczowych używa przedewszystkiem argumentu niezawodnego na zwalczanie radykalizmu (w postaci „dwóji”).

Takie ujęcie w karby „niesforne go młodzieńca”, zamiast przyjęcia z przyjacielską pomocą borykającego się młodemu człowiekowi, wchłaniającemu na gorąco różnorodną treść życia, przynosi nieobliczalne skutki.

Wypadki naruszenia autorytetu nauczyciela i krzyk z tego powodu na brak taktu, t. zw. „dobrego wychowania” a nawet „kultury”, mają jednak swoją dwustronną przyczynę. Wśród młodzieży istnieje przekonanie, że prawdziwy autorytet musi powstać drogą uznania istotnych wartości danego człowieka, narzucających się gronu otaczających go ludzi. Sztuczne stwarzanie autorytetu i jeszcze bardziej sztuczna jego ochrona i tak pokrycia nie ma i mieć nie może. A długo tkwią bolesnym obrazem w pamięci momenty starcia się wzrastającego i krępującego CZŁOWIEKA z nieuzasadnionem AUTORYTETEM.

Na osobne omówienie zasługuje sprawa konfliktów religijnych, jątrząca ciągle młodzież, ale narazie nie mieszcząca się w ramach tego artykułu.

* * *

Prasa szkolna.

Doniedawna „Kuznia Młodych” to było odbicie żywej młodzieży, dymiącej od ciepłych jeszcze przeżyć i wzruszeń. W ostatnim roku ta pachnąca, młoda „Kuznia Młodych” zamierała powoli w popularne i anemicznie poprawne piśmiśko szkolne. Mamy ku temu dowody, ażeby twierdzić, że jakaś ręka cenzury wychowawczej przyduśiła to jedyne, szczerze młodzieżowe piśmiśko.

Pismo stało się piśmiem dla młodzieży a nie młodzieży, mimo artykułów nadsyłanych przez młodzież. Inne pisma oczywiście anemicznie swoją utrzymały na odpowiednim poziomie. Śmiemy również twierdzić, że w tem zamieraniu dużą rolę odgrywała obawa przed konsekwencjami za szczerą wypowiedź, gdyż jak mówią fakty — dosyć bliskie —, takie konsekwencje istniały.

A my właśnie szczególnie teraz potrzebujemy szczerzej konfrontacji myśli i tworzenia prawdziwie

młodego frontu—w obliczu zamętu walk partyjnych starszego społeczeństwa.

My właśnie teraz stoimy w tragicznej rozterce, tracąc coraz bardziej wiarę w dawne hasła. Goni nas codziennie zmora kłamstw, niekiedy brudów współczesnego życia.

Prasa—szczerze nasza jest palącą potrzebą.

* * *

WZGLĘDNOŚĆ SAMODZIELNOŚCI.

Młodzież nie lubi w rzeczywistości bezczynnej obserwacji. Zbyt młode są jeszcze ręce, aby mogły wisieć bezczynnie jak wahadła zmarłego zegara. A jednak stwierdzamy, że kulturalne życie młodzieży prawie nie istnieje. Przy organizowaniu jakichkolwiek imprez przez samą młodzież, napotyka się

naogół duży łańcuch zastrzeżeń, a bieganie za uzyskaniem pozwolenia, a później cenzura — wyczerpują okropnie siły. Cenzura ma na celu ochronę młodzieży przed kompromitującymi, nieodpowiedzialnymi wystąpieniami. Rozumiemy to. Nie mniej spotykana często cenzura to ogromne klody przeszkód i utrudnień. Poczucie odpowiedzialności nie rodzi się na tej drodze. Dopiero świadomość pełnej samodzielności czyni człowieka odpowiedzialnym. Nie odżegnujemy się od opieki i współpracy wychowawców, ale żądamy więcej zaufania i wiary w naszą dążność.

Inicjatywy młodzieży nie brak. Ręce prężą się do pracy. Chodzi tylko o pozwolenie i umożliwienie samodzielnej roboty.

S. Skoczylas, gimn. 494.

Muza barbarzyństwa

(Wypad antykinomaniowy)

Ilekróć przechodzę o godz. 7 koło Mekki Sztubackiej kina spotykam roje rozbawionych par. Okrzyki: Ochl jak ja „straszenie” uwielbiam Clark'a Gable'a! Barbara Stamryck jest zachwycająca, zachwycająca! Bezmyślnie zachwycene twarze chełmskich, lubelskich czy też zamojskich kandydatek na Greta Garbo, Marleny Dietrich, Janel'y Gaynor przyprowadzają mnie zgola o... młodości. Przyznam się: nie mogę zrozumieć kino-manów z ich uporczywym, manjackim uwielbieniem „Kina” i kina. Niestety, (leżka) jest ich bardzo dużo. Przedstawiam jednego z nich. Strona zewnętrzna: amerykański reglan (taki sam nosi Robert Taylor), plac na wąsiki à la Charles Boyer, krawat à la Leslie Howard i wiele innych à la. Umeblowanie wnętrza stanowi dokładną znajomość konstelacji gwiazdnych Hollywood, Ufy, Tempelhof, Urania i t.p. Pytam:

— Cóż tam słyhać u twojej Muzy?

— Jakto ty nic nie wiesz? Carola Lombard rozwiodła się ze swoim mężem, obecnie posubiła znanego komika King Ley'a, który... i t. d. Pierwszorzedna sensacja! Więsz, co sobie szepczą na ucho? Że ona to... i t. d.

Jestem przybity wymową tych faktów. Mój interlokutor nie dopuszcza mię do słowa. Olsniewa mię odkrytymi tajemnicami.

— Czy byleś w „Harmonji” na ostatnim obrazie: „Pod banderą miłości”. Coś wspaniałego! Wystawa. Przepych. Zespół girls'ów, że... On — zły mąż. Ona—anioł. Ucieczka. Pościg. Ten trzeci—wybawiciel. Tempo. Humor. Tu się czuje wiek XX. Postępl Tak po...

Obok przechodzi słodkie dziewczątko à la Claudette Colbert. Mój rozmówca milknie i błyskawicznie mię żegna. Za chwilę widzę go przy „niej”. Słyszę:

— Czy pani była w „Harmonji”?...

Dalej nie potrzebuję powtarzać. Żeby nie być posądzonym o jednostronność porozmawiamy z innym kinomanem. Pierwszy był, że tak powiem, wesoly, ten jest poważny. Mówiąc dodaje swoim słowom plastyki szerokiemi, pełnemi ruchami rąk.

— Do kina należy przyszłość. Jego rozwój podąża siedmio milowemi krokami. Cóż robi teatr wobec ciągłych ulepszeń, wobec udoskonalenia barwy? Teatr zamiera zamknięty w przebrzmiałych, konser-

tywnych formach. Tymczasem kino idzie z postę-
pem, trzyma ręce na pulsie...

— pustej rozrywki, taniego dowcipu i niezdro-
wej sensacji — wtrącam.

— A Charlie Chaplin? Tu film wchodzi w ją-
dro najistotniejszych problemów, nurtujących obecny
świat. A produkcja sowiecka? Czy to też bezmyśl-
ność?

— Bezmyślność? — może nie, ale agitka ro-
biona według utartego szablonu.

— A niektóre filmy produkcji zachodnio-euro-
pejskiej, Rene Claira?

— Tak. Tak. Masz słuszność i nie masz jej.
Każde zjawisko ma dwie strony (przynajmniej): są
więc i dobre filmy. Mnie interesuje jednak co inne-
go: co wynosi z filmu konsument, co zyskuje ogół,
szerokie masy, a specjalnie młodzież, interesuje mnie
bezszykownie bezkrytyczny stosunek młodzieży do
kina. Co w kinie się zobaczy, to święte, to „tabu”,
nie widzi się kłamstwa, blichtru. Młodzież poza, dość
wątpliwej wartości, rozrywką z filmów nie wynosi
żadnych wartości dodatnich, tylko ujemne: pozę,
niezdrową ambicję błyszczenia, oderwanie od życia
rzeczywistego. Toalety, klejnoty, fotogeniczność dra-
styczność niektórych scen — oto cały problem. Widz
„wysztućony” na różnego rodzaju „szmoncesach”
przechodzi koło filmów, nawet dobrych, nie widząc
wagi rozwiązanych problemów. Omija je, chwytując
miraże. Jest to zresztą dość ściśle związane z ogólnym
spłyceniem młodzieży. Tkwi w tem poważne nie-
bezpieczeństwo. Iłeż to w Polsce w chwili obecnej
mamy panienek pretendujących do tytułu „gwiazdy”,
ileż śni o zostaniu Jean Crawford, Miriam Hopkins,
Lilian Harvey? Kochane Irmy(!), niebieskookie szat-
yńki, boskie platynki rzućcie w kąć fotocy, „Kino”
i kino weźcie się do życia! (Komunał?). Iłeż to ho-
żych młodzianów pielęgnuje swoje szopy, robi zabój-
cze „oka”, cudowne uśmiechy z nadzieją: może ja,
może ja...

Wiadomość dla kinomanek i kinomanów: Naj-
nowszą modą w Stanach Zjednoczonych jest nada-

wanie dzieciom imion słynnych gwiazd. W roku
ubiegłym 249 dziewczątek nazwano imieniem Clau-
dette Colbert, nie rezygnując z nazwiska aktorki;
wygląda to w zestawieniu z nazwiskiem następują-
co: Claudette-Colbert Smith, Claudette-Colbert. Lery
241 panien będzie miało na imię „Carola Lombard”,
84 chłopców „Fred-Mac Murray”, a niezliczona ilość
„Clark-Gable’ów i „Gary Cooperów” zaludni mia-
sta amerykańskie. („Kino” Nr. 34.VII.36).

Gwoli ścisłości zaznaczyć muszę, że rozmowy
przytoczone wyżej nigdy nie miały miejsca. Pozbie-
rałem charakterystyczne kinowe kwiatki i przybra-
łem niemi moich rozmówców. Tem niemniej obraz
powyższy jest prawdziwy. Konia z rzędem temu, kto
udowodni, że jest inaczej. Brodziszko i inne manki
chwytajcie za ołówki do brwi i huzia na wroga.

Kochane kinomany nie myślcie, że jestem taki
znów zły. Wyciągam rękę do zgody. Przechodzę na
waszą stronę cum lassis, boris et graniciebus i tem
wszystkiem czego mi brak. Jeden tylko warunek.
Szukam osoby, któraby odpowiadała następującym
wymaganiom: postać Kay Francis, zęby Mac West,
usta Duny Sten, Oczy Elissy Landi, włosy Clary
Bow, doskonały kształt głowy Janetty Mac Donald
i jej czarujący uśmiech, ręce Joan Crawford, pełne
ekspresji i piękna, inteligencja — furda inteligencja!
to niemodne, to było dobre w XIX w. Czasy bar-
barzyństwa minęły! Łaskawe oferty z fotografią
(oczywiście!) i danemi o sobie jako takiej, a jeśli
nie takiej, to jakiej i dlaczego, proszę składać pod

Czesław Łagoda
gimn. im. St. Czarnieckiego
Chelm.

PODZIĘKOWANIE

Redakcja „W Słońce” składa podziękowanie
p. prof. Jesionowskiej za łaskawe ofiarowanie 20 zł.
na nasze wydawnictwo.

Jednym z najbliższych naszych wieczorów artystycznych będzie
akademja Kasprowiczowska, którą urządzamy w październiku. Prelekcję
wygłosi p. Dyrektor F. Gucwa.

W. CHOŃSKI

REKORD

NOWELA

Zegar wydzwonił godzinę ósmą, a telefon zaterkotał niecierpliwie, zły, że wyrwano go w zastęglej w czerń ebonitu kontemplacji. Za oknem szamotał się w niespokojnym mroku wiatr i rozszluszczony nieruchomością domów ciskał w szyby garściami piasku.

Telefonał Williams, pełniący tego wieczora nudną służbę dyżurnego telegrafisty na stacji w Jacksonville: w słuchawce odezwał się jego urywany i drżący nutą powstrzymywanego szaleństwa głos i mówił bezładnie szybko, gorączkowo, niewyraźnie. Poprzez ulgę, że to nie głos Doritt, odwołującej spotkanie, Mills poczuł grozę.

— Key-miotał się histeryczny głos w czarnym lejku — Key, ratunku! Tamę na Snake zerwało a express północny jest na szlaku i nie zatrzymuje się mimo ostrzeżeń — widocznie sygnały nie działały! Key!...

Oszołomienie zmieszało Millsowi na sekundę myśli.

— Nie rozumiem — powiedział ze złem zniecierpliwieniem. Wiatr uderzył niespodzianie w szybę gałęzią rosnącego obok klonu.

Zachryptał głos Williamsa odezwał się znowu.

— Key-powiedział, zachłystując się rosnącym mu w gardle szlochem—Key, expresseem jedzie Jessie. Jeżeli... jeżeli choć przed wyjazdem pociąg nie zwolni maszynista przy takiej szybkości nie zauważy nic — —

Zrozumienie spadło jak preraźliwa jasność i Mills zwarł rozpaczliwie szczęki.

Głos w telefonie zadygotał.

— Mills — zachrapał w słuchawce Williams—sygnały nie działają i jest tylko jeden sposób ocalenia expressu: w ciągu najbliższych minut ktoś musi go zatrzymać — albo spowodować zwolnienie! Tylko ty jeden możesz to zrobić, tylko ty jeden na swojej maszynie! Słuchaj, o ósmej piętnaście express minie przejazd na Black Hill — o sto jardów przed

tamą—i tam możesz go schwytać! Przecież zrobisz to, Mills, zrobisz to?...

Ale Mills nie odpowiedział i z trudem chwycił powietrze w rozpalone nagłym żarem płuca. Wpatrując się z przerażeniem w zegar dokonał gorączkowo obliczeń: odległość do przejazdu — czas — szybkość pociągu — a przytem ciemność i wiatr —

— Mills, czy pojedziesz? — zegar wskazał godzinę ósmą minut sześć — wiatr rzucił się do okien i dobijał się z wściekłością.

Mills chwycił obiema rękami słuchawkę i zduszonym głosem powiedział w czarną czeluść tuby:

— Nie.

Głos Williamsa zawył.

— Zlituj się, człowieku, zlituj się! Jessie... tam są przecież ludzie, dziesiątki ludzi, a ty nie chcesz ich ratować?! ty?. O Boże, Mills!..

— Nie — charczał w tubę, skacząc przerażeniami oczami po ostrych błyskach rozstawionych wokół nagród. Wiatr wyl teraz preraźliwie wysoko kantyleną odbiegł od okna i usiłował wślizgnąć się do domu dachem.

Blągający o litość rozplakał się.

— Key, przecież tylko na ciebie liczyłem, rozumiesz, tylko na ciebie! Boisz się?! Bydłę, setka ludzi zginie przez ciebie!!

Obelga uderzyła, jak hałaśliwy policzek. Mills spurpurowiał, aż głos zrobił mu się zgrzytliwy: kłapiąc zębami, jak pies, rozwrzeszczał się brutalnie i z pasją tkął w tubę telefonu bezładne strzępy słów.

— Myślisz, że się boję? Dlatego, że nie chcę ratować czyjejs dziewczyny, co? Siebie zabiję i nikogo nie uratuję, słyszysz, psiakrew!! nikogo!..

Pchnięty telefon runął z łoskotem. Mills zatoczył się i usiadł ciężko na łóżku. Dyszał, jak po wielkim wysiłku i mocował się z ogarniającym go szaleństwem.

Była godzina ósma minut sześć: za dziesięć minut pociąg minie Black Hill. Wiatr spełznął znów ku ziemi i z głupawym chichotem szperał pod drzwiami domu, skacząc co chwila ku oknom.

Przypomnienie dziewczęcej sylwetki wydarło mu jęk ze zwierających się rozpaczliwie zębów: na-

zając się dla obcych, złych może, obojętnych ludzi, kiedy tu czeka go szczęście?!

Błysk leżący na stole plakiety ostatniego wyścigu przyciągnął rozbiegane oczy i dziwnym skojarzeniem przypomniał słowa Williama:

— Nie Jessie—tam są dziesiątki ludzi!

Prawda: w tyłu wagonach. Alle Black Hill jest zablisko tamy. Mówił, że wystarczy, jeśli pociąg zwolni. Ósma siedem, jeszcze osiem minut. Wiatr runął nagle w drzwi, otworzył je napelił mieszkanię szeszczącym niepokojem i dobijał się do gabinetu.

Mills doznał okropnego wrażenia nieuchronności ciosu, nieuchronności swego postępków, jak wtedy, kiedy runął umyślnie na beton, żeby ocalić przewróconego Rudestinge'a, a potem przez długie miesiące walczyć o życie w białych salach operacyjnych. Błyski rozstawionego srebra zmieniły się w błyski narzędzi chirurgicznych.

— tutaj — kwiaty — — tyle kwiatów —

Ćwiczona, tresowana w tyłu raidach i wyścigach, w tyłu cudem tylko nie śmiertelnych wypadkach, szybkość decyzji smagnęła nerwy, jak bicz prądu elektrycznego: Mills, klnąc, zerwał się, zwał się z siebie smoking, i przedarł się przez ciemną, rozdygotaną wiatrem sień. Przed domem, oświetlona rzucaną przez wiatr latarnią, błyszczała lakierem maszyna.

Mills spojrział na roświetlone w dali miasto i zacisnął na wargach zęby: czerwone nitki spłynęły na szyję i plamiły biel gorsu.

Zapućcił motor kilkoma zautomatyzowanymi ruchami; pchnięta w ciemność maszyna ryknęła odrazu na pełnym gazie i wydarła się w zwężoną perspektywnie czeluść drogi, rozcięta ostrzem reflektorów.

Najpierw następował zły odcinek, gdzie pełna szybkość wybijała ręce na wybojach: Mills umiał drogę napamięć, a mimo to rzuciło mu kilka razy niebezpiecznie maszynę. Po tym krótkim złym bruku wziął ostry skręt i wy dostał się na polną drogę. Kiedyś miała tu być ulica, ale tymczasem falująca cisza rosnącego po obu stronach zboża stanowiła dziwny kontrast gnającej środkiem maszyny.

Mills ochłonął. Panował teraz nad maszyną z zimną zaciekłością mistrza, spokojny i dokładny.

Oświetlony szybkościomierz wskazywał ten spokój dobitnie: na pełnej drodze szybkość zbliżała się niemal do rekordu motocyklowego. Śmieszna chęć wyciągnięcia szybkości dla niej samej zajęła go tak, że przypominał sobie o swoim zadaniu, kiedy po minucie jazdy polem błysnęły czerwone lampy. Nie zwalniając wypadł na asfaltową szosę, prowadzącą ostremi, spazmatycznymi skrętami wzdłuż bloku zabudowań fabrycznych Bickelsa, gdzie gwizd prutego powietrza i ryk motoru echo potęgowało w niesamowity rozgwar.

Nerwy odmówiły Millsowi posłuszeństwa nagle i bez przyczyny. Zaczęło się od momentu, w którym czerwone lampy ostrzegawcze przypomniały mu semafony. Serce zagalopowało z szybkością przewyższającą wściekłą pracę tłoków. Od przegubów rąk, kierujących wyjącego diabłem, poszło śmiertelne zimno: rozchodziło się żyłami, ujęło twardą obręczą piersi, głowę, wpiło się w mózg, usztyniło włosy. Szczęściem na okres tego strasznego stężenia przypadł dłuższy odcinek prostej: maszyna gnała sama, niekierowana przez sparaliżowanego grozą jeźdźcę. Potem rozrośnięte w czasie zimno buchnęło okropnym gorącem, zakipiało w gardle skowitem i przeszło w łkanie. Nadszedł jeden skręt, potem drugi, trzeci, dziesiąty. Mills, przygasiwszy światło, brał je z rozpaczliwą, oszalałą brawurą, ogłupiał i jęczący. Skulony na siodle, przygnieciony rykiem silnika, zapragnął nagle roztrząskać głowę o pierwszy występ muru, ale opanował się i tylko naciskając manetki parł motocykl coraz szybciej i szybciej, aż fosforyzowana strzałka szybkościomierza doszła do punktu ostatecznego.

W pewnej chwili nastąpił przełom, który zacydowało o wszystkim: mijając jedną z czerwonych lamp Mills dojrzał współzawodnika. Był to cień, bo znikł, przesuńawszy się błyskawicznie wzdłuż ściany, ale zatapiany przerażeniem mózg zarejestrował tylko złudzenie.

Mills stracił właściwie w tej chwili przytomność: kontury mijanych budowli, zmienione pędem w czarną ścianę, zdały się zarysem trybun. Oszalały żądzą dogonienia tego kogoś, jadącego przed nim, gnał teraz po linjach najkrótszych, brał

wiraże pod nieprawdopodobnym kątem nachylenia — tamten był niewidoczny.

Ściana uciekająca w tył po obu stronach drogi, skończyła się i maszyną targnął wiatr. Mills ujrzał pociąg: Nord Express Trancontinental — dyszące luksusem wagony — gnał w śmierć, ciągnięty potworną siłą pośpiesznej lokomotywy.

Oprzytomniał. Droga zbliżała się pod ostrym kątem do toru: błyskawicznie po sobie następujące wypały cylindrów stopiły się w drący, przeraźliwy ryk — po trzydziestu sekundach maszyna wzięła ostry zakręt. Semaforey milczały i w nagłym przypływie rozpacz Mills począł się modlić o cud.

Gorączkowo szukał sposobu zatrzymania tego taboru śmierci: szosa biegła wzdłuż toru zaledwie kilkaset jardów i na tym odcinku trzeba się było zdecydować, bo potem następował wjazd na tamę i przy wyścigowej szybkości maszynista nie mógł się na czas zorjentować. Ale decyzja nie przychodziła i Millsowi, kłapiącemu ze zgrozy zębami, włosy jęły się podnosić na głowie. Mimo wysiłków zachłystu-

jącej się maszyny nie mógł dojść parowozu. Okna wagonów były ściemnione i ciche.

Niech zaświecą sygnały!

Wszystkie uczucia, pragnienia i myśli zmieniły się w to jedno splątane strachem.

Zrównał się wreszcie z lokomotywą i począł ją mijać, kiedy o kilkadziesiąt jardów na przedzie mignęły światła przejazdu. Odetchnął głęboko i nagle przyszło mu na myśl coś, co na ułamek sekundy pozbawiło go przytomności, tak było niespodziewane i straszne. A potem została w mózgu tylko pustka, skłębiona rykiem motoru i łoskotem pędzącego obok pociągu. Kiedy zabrakło jeszcze kilkunastu jardów Mills pchnął manetkę poraz ostatni: maszyna zawały i skręcona we wspaniałym wirażu palnęła w nadbiegającą lokomotywę.

Express gwizdnął kontrparą i zgrzytnął zhamowanymi kołami, ale nim ktokolwiek zeń zdołał wyskoczyć krwawe znaki sygnałów zapłonęły i rzuciły purpurowy refleks na drgającą wśród strzępów maszyny miazgę.

„SPOCZNIJ! WYKONAĆ!”

(z obozu P. W. w Wólce Profeckiej)

— „Pobudka, pobudka! Wstać” — służbowy po męczarni nocnej samotności wykrzykuje z satysfakcją.

Szybki stuk pięt o podłogę szopy.

Siła rozkazu wyrzuca młodzieńca zdolnego do ociągania się i dyskusji wbrew jego woli.

Scementowani umundurowani w zieloną masę, zatraciliśmy swój indywidualny wyraz, nasza indywidualność wrosła w całość kompanji i oto już złączona z nią organicznie, zdolna jest do czynu jedynie przy napędzie sił kierowniczych mechanizmu kompanji.

U wylotu rejonu III-go plutonu stoi dowódca w napoleońskiej pozie i hipnotyzuje. Jego skinieniom towarzyszy ruch i zwrot kilkudziesięciu młodych ludzi.

Jesteś poddany sugestji, hipnozie rozkazu, zwalniasz się od samodzielnego myślenia i wykonujesz mechanicznie wskazaną czynność. Zatracasz się tu, gubisz i wzrastasz w całość. Czujesz się źle poza szeregiem kompanji, plutonu czy drużyny. Dopiero we własnej czwórce powstaje radość, swoboda, buta i chęć gromadnego działania.

Kiedyś przyczajony w środku zielonej masy, podziwiasz utajoną siłę rozkazu dowódcy, elektryzującego całe szeregi, podporządkującego sobie 150 indywidualności.

* * *

Nastąpiła w obozie bezwzględna i sprawiedliwa demokracja. Pstrokaczną indywidualnych upodobań zastąpiły bliźniaczo do siebie podobne mundury, pasy, aż do ostatniego guzika przy spodniach.

Czujemy się jak nowonarodzeni. Stopniowo następują zróżnicowania. Najpierw zaczynają wyróżniać się symulanci, z racji ciągłego stawiania do raportu z prośbą o zwolnienie. Kiedy szef komendy deruje:

— „Oferty, odlicz!” —

cała kompanja ciekawa widoku prawdziwej oferty zwraca głowy w stronę „obolalych” i utrwala sobie ich obraz w pamięci. Z kolei dają się poznać t. zw. „leńciami”.

Genjalne to słowo (powstałe zresztą w obozie) określa zjawisko psychologiczne uchwytne w całej pełni jedynie w obozie, w życiu gromadnym.

„Lenciaj” (od słów „leń” — „ciamajda”) to typ człowieka, który powstał przez organiczne złączenie niedorozwoju fizyczno-umysłowego z wrodzonym lenistwem i kompletną niedyspozycją woli.

Stają jego cechą jest: chroniczne spóźnianie się, markierowanie, symulowanie, niesolidność zawsze i wszędzie.

Dopiero w życiu gromadnym uchwycisz przez codzienne sprawy, najprymitywniejsze czynności, istotną wartość człowieka. Wykreślił dokładną granicę między jego frazeologią a zdolnością twórczą.

Wydaje się, że zbiorowe współdziałanie może wyleczyć człowieka z jego chronicznych, wewnętrznych wad przez bezwzględne włączenie jednostki w ogólne formy i zmuszenie prawem większości do pozytywnego działania. Wzrastanie takiej jednostki odbywałoby się w prawidłowych i pozytywnych formach i dawałoby większą pewność jego późniejszej wartości.

* * *

Rozrosły indywidualizm i humanitaryzm drgał buntem na wspomnienie każdej dramatuńskiej komedy. Szykował się do bohaterkiej obrony.

W ćwiczeniach polowych, w pozorowanych bitwach i podchodach nastąpiło zrozumienie i uzasadnienie potrzeby komedy. W obliczu zrozumienia rozdziła się silna wola i nieprzeparta chęć współdziałania. Potrzeba jednolitej, zbiorowej siły stawała się sprawą przeżyta, a więc na zawsze własną, nie narzuconą. Coś się zespałało i twardniało w nas na nieugięty mięsz. Cała abstrakcja zdobywanych nauk w szkole ustępowała mocnej rzeczywistości. To nas formowało, czasami aż boleśnie i brutalnie, drwiła i kazała patrzeć trzeba i jasno. Konkret rysował nowe znaki na osobowości człowieka.

* * *

Kiedy p. st. sierżant Nowak objął dowództwo w III-cim plutonie, wyprowadził w pole i przemówił,

poznałeś w nim najlepszego pedagoga, najbardziej moralnie zdrowego człowieka. Nieucukrzony pięknymi słowami, oddziaływał najzdrowiej i najmoralniej. Wszystko było mocne, twarde i jasne i nie kryło się za parawanem frazeologii. Każde słowo to przeżyta treść, każdy rozkaz i komenda celowa i niezakłamana. Poznajesz, że ta przysłowiowa kaprałska brutalność podoficerów jest tylko ową zewnętrzną formą, poza którą tkwią zdrowe moralnie i mocne kości.

I właściwie największą, nieklamana sympatją obdarzani są na obozie podoficerowie. Ich postawa szorstka przez twarde, żołnierskie życie, jest postawą prawdziwą. Nabierasz zaufania i rodzi się wtedy istote zrozumienie i współzycie.

* * *

Niezmienne zakończenie każdego rozkazu wydawanego przez szefa kompanji bezwzględny! Spocznij! Wykonać! urasta do miary symbolu.

Kiedy powstaje w nas wewnętrzny nakaz, coś szepcze bezsłowny rozkaz, trzeba samemu sobie zakończyć „Spocznij! Wykonać!

Najsukuteczniejsza będzie to zapewne nasza postawa we wszystkim.

Prawdziwie żołnierski duch ma swoje bezwzględne wartości.

Z pacyfistycznego punktu widzenia pojawiał się lekki uśmiech, gdy pierwsi szperacze ruszyli na pierwszych ćwiczeniach. Przypomniły mi się harcerskie zabawy, entuzjazm dla ksiązek Sienkiewicza i Karola Maja.

Obóz stawał się terenem wielu spostrzeżeń, przeżyć i nieznanych dotychczas wzruszeń.

Nie chodzi tu o czyste młodzieńcze zadowolenie z bezkrwawego wojowania, z laurów zdobytych przez słomiane bohaterstwo, nie chodzi o emocję wojskowego życia.

Sięgam dalej; do istoty wojskowego wychowania, chodziło mi o przetrzymanie się psychiki człowieka w sementowaniu, zbiorowym życiu w wojsku, o te wzruszenia, które jako pacyfista przeżyłem. Nie mogłem pozostać obojętnym wobec faktu, któremu dawniej zaprzeczałem.

Tak te sprawy przeżyłem, tak a nie inaczej je zobaczyłem. Być może, że nastąpi kiedyś rewizja tego poglądu. Dziś odczuwałem moralną potrzebę wyrażenia tych spostrzeżeń.

RECENZJE. WIADOMOŚCI.

MUZYKA

Pomówmy trochę o audycjach „Ormuzu”. Organizacja ta ma zadania bardzo szczytne, lecz doświadczenie kilku lat wykazało, że mimo jej długiej pracy wyniki są nikłe. Przedewszystkiem praca „Ormuzu” nie jest metodyczna, lecz raczej dorywcza. Treść koncertów nie usystematyzowana. Wprawdzie soliści są rzeczywiście pierwszorzędni, ale ich program nie kształci, gdyż jest on mieszaniną różnych epok, stylów i form muzycznych. Organizatorowie audycji zapominają widocznie, że nie wszyscy obecni mają ucho wykształcone muzycznie i że nauka śpiewu, czy muzyki w szkole wykształcenia tego, mimo swych założeń, nie daje. Objaśnienia prowadzących audycje niewystarczające, dają bardzo mało, bo dotyczą tylko programu danego koncertu. Krótko mówiąc: młodzież, uczęszczająca na oficjalne i przez Kuratorium popierane audycje „Ormuzu” korzysta minimalnie. Bo tak jak nie można studjować matematyki, nie znając ułamków, tak i nie można słuchać muzyki poważnej nie znając jej podstaw. Pozatem audycje „Ormuzu” nie zawierają zupełnie muzyki programowej, tak, jakgdyby ich organizatorowie zapomnieli, że taka istnieje. Dodać pozatem z przykrością należy, że zachowanie się młodzieży na audycjach „Ormuzu” jest wręcz skandaliczne (przypominam incydent z recitalu prof. W. Kochańskiego).

W roku bieżącym projektowane jest utworzenie patronatu nad orkiestrą symfoniczną Tow. Muzycznego w Lublinie. Patronat ten miałby za zadanie stworzyć podstawy finansowe orkiestry i jej propagandę.

Sezon koncertowy w b. r. (początek we wrześniu) rozpocznie najprawdopodobniej koncert młodego wybitnie utalentowanego skrzypka, T. Klajnmana.

TEATR

„Głupi Jakób” — komedia w 3 aktach. T. Rittnera. Oto w czwartym z kolei sezonie, witamy z wysokości galerji Teatr Wołyński. Ten jeden z nielicznych w Lublinie dawców przeżył artystycznych ma u nas szczególnie serdeczną pozycję. Ileż to razy wcisnęci w kąć galerji, przeżywalimy wraz z aktorem różnorodną treść sztuk. Uczestnicząc na każdym prawie przedstawieniu związaaliśmy się z teatrem sil-

nie uczuciowo. Z radością witaliśmy dobrze nam znane afisze.

Sezon otwiera (znany już ze scen T. W.) T. Rittner. Sztuki jego pozbawione barw bujnego życia, cechuje naturalizm i wnikliwość w głąb człowieka do utajonych w nim sił. Komedja „Głupi Jakób” jest w rzeczywistości dość ponurą sztuką. Naturalizm rodzinnych scen i nienormalność sytuacji działają nieco przygnębiająco. Kilka groteskowych postaci budzi bardziej współczucie, niż śmiech. Z komedji pozostał więc jedynie wątek akcji, reszta zaś to głęboka analiza stanów psychicznych człowieka. Ściera się mianowicie i przeciwstawia sobie młodość żywiolowa, bezpośrednia i uczciwa ze starością przewartą przez rdzę samotności i lichwy. Niewyżyta siła miłości u starego szambelana wpływa oto na ostatnim etapie wędrówki do grobu i szuka swego ujęcia choćby na drodze kłamstwa i złudy. Siła ta obzewładnia starca i znieczula wszystkie inne właściwości charakteru. Młody Jakób w całej prostocie i uczciwości nie potrafi opanować systemu kłamstw i stąd jego niezdolność do korzystania z świetnej okazji, stąd przydomek „Głupi Jakób”. Oszalała go jawność kłamstwa i paraliżuje ręce w walce o swoje kochanie. Jest jakiś niesmak w tej spóźnionej namiętności starca walczącej z młodzińcem. Zakłamanie młodej Hani zatruwa jeszcze bardziej atmosferę. Ten mezaljans starca z biedną dziewczyną oparty na kłamstwie to wynik pogwałconych praw człowieka.

Postać Szambelana pełna gorączkowego, podświadomego życia starca oddana była przez p. Malinowskiego pierwszorzędnie. Groteskowa postać porucznika niezbyt pasowała do p. Szafrąńskiego. Inne role nowozaangażowanych aktorów każą się spodziewać w przyszłości wysokiego poziomu gry.

LITERATURA.

Z frontu poetyckiego Lublina i Chełma.

Sfera nastrojów i rozstrojów polityczno-społecznych, jesiennych wpływa na poetów korzystnie. Oto ostatnie wieści z „frontu” (Łobodowski z przyległościami Popowskich i Podstawków).

J. Łobodowski to już fizycznie nie ten z przed roku. Widać, że jest po głębokich i trwałych przeżyciach. Należy więc spodziewać się wierszy (w drugim nakładzie „Rozmowy z Ojczyzną, które wydaje

u Hoesika w Warszawie) o potężnych ładunkach uczuciowych. Znajdzie się w tym tomie poetyckim wiele poematów znanych nam z „Drogi” czy „Skamandra”.

Równocześnie z „Rozmową z Ojczyzną” wyda Łobodowski świeży zbiorek, którego tytułu narazie nie znamy.

Podstawka debiutuje w tym miesiącu zbiorkiem „Stopy w niewoli”, który być może omówimy w przyszłym numerze. Również dawno zapowiedziane „Śpiewy uroczyste” Z. Popowskiego ukazały się w Chełmie. k.

Związek Literatów Lubelskich.

Związek Literatów Lubelskich, nominalnie istniejący od czterech przeszło lat, przez dłuższy czas nie wykazywał prawie żadnej działalności. Dopiero w roku ubiegłym po wielomiesięcznej przerwie reaktywowano władze Związku i przystąpiono do pracy. Jednak przeszło dwadzieścia wieczorów dyskusyjnych i parę wieczorów autorskich urządzonych w zimie 1935/36 roku to dorobek jak na potrzeby i możliwości lubelskie stanowczo zbyt skromny! Brak jakichkolwiek funduszy rozbił organizacyjne i zbyt późne rozpoczęcie pracy (w grudniu) uniemożliwiło zakreślenie sobie szerszego programu. W roku bieżącym sytuacja będzie wyglądać zupełnie inaczej. Poza kontynuacją tradycyjnych czwartków dyskusyjnych, Związek planuje intensywną akcję odczytową i wydawniczą. Przy „Expressie Lubelskim” będzie się ukazywać miesięczna kolumna literacka, pozatem przygotowany jest własny periodyk.

Dużo uwagi poświęcać zamierza Związek organizacji wieczorów poetyckich i autorskich. Pod jego auspicjami rozwijać się będzie teatrzyk artystyczny, który między innymi wystąpi z Szopką lubelską. Do wzmocnienia zainteresowania pracą Związku na terenie naszego miasta przyczyni się bezsprzecznie nagroda literacka Lublina, która po raz pierwszy przyznana zostanie w listopadzie b. r.

Odpowiadamy...

Zaskoczyła nas „krytyka” rzeczowa (aha!) poprzedniego numeru. Traktujemy ją jako sos porachunkowy osobistych.

Choć czasem przydałoby się mocniejsze słówko dla tych, którzy „szlachetnie” oburzają się naprzykład... naprzykład na wiersze zamieszczane w „W Słońce”.

Regionalizmu nie będziemy już wprowadzać do pisma—jest nam uczuciowo obcy, jak prowincjonalny patriotyzm. Lepiej pisać o tem wszystkim, co absorbuje na miarę wojny hiszpańskiej.

Przy sposobności: nowa pisownia będzie wprowadzona do naszego pisma „W Słońce” w numerze następnym.

W zakończeniu wypad do naszych notowanych i nienotowanych poetek(ów), publicystów i wogóle zakochanych (w literaturze myślę). Zaczniście kochać się w prozie, oczywiście ładnej (bo skąd ten prozowstręt), pracopracowanej. Nadsyłajcie materiały (recepta: pisać tylko na jednej stronie papieru kancelaryjnego. Nie „tworzyć” długich t. zw. „kobył”, ażebyśmy nie musieli robić z nich „wycinanek”). Przyjmuje się prace do 15 każdego miesiąca, a pieniądze stale, co nam nakazuje nasza samowystarczalność gospodarza...

A. Onry. „Bezdroża poszukiwań” zostały w ostatnim momencie skonfiskowane. Odpowiedź przesyłamy Wam listownie.

Iris. Prosimy o inne wiersze, ten jeszcze nie nadaje się do druku.

I. G. „Odejście” — w tece.

W. G. „Impresje wakacyjne” otrzymaliśmy już po złamaniu numeru. Może Kolega dostarczy nam projektów graficznych? Czekamy.

W. W. „Zaszumił stary las...” Podejrzewamy Koleżankę o zacięcie literackie. Prosimy porozumieć się z Redakcją. Feljeton jeszcze nie nadaje się do druku...

H. Ł. Prawdopodobnie wykorzystamy kilka myśli St. Brzozowskiego, a to ze względu na renesans tego pisarza.

K. N. Już raz mówiliśmy Koledze, że nie!

J. L. Radzimy Koleżance afekty skierować w inną stronę (w kierunku Kaz. J. K.) „Erotyk” nie teraz.

Na materiały nadsyłane przez członków Komitetu odpowiedzi nie zamieszczamy.

Wyszedł z druku drugi tomik poezji Zdzisława Popowskiego p. t. „Pieśni uroczyste”. Do nabycia w Redakcji „W Słońce” i w księgarniach. Cena 2 zł.

WSZYSTKIE
podręczniki szkolne i lekturę obowiązującą w szkole

POSIADA

Księgarnia Św. Wojciecha
w Lublinie, Krakowskie-Przedmieście Nr. 40.

DRUKARNIA „NARODOWA”

LEONA MILARSKIEGO

W Lublinie, Krakowskie-Przedmieście 78. Tel. 26-73

(Obok Sądu Okręgowego)

WYKONYWA WSZELKIE ROBOTY W ZAKRES DUKARSTWA WCHODZĄCE
 WYKONANIE TERMINOWE. — — — OFERTY NA ŻĄDANIE.

Czapki Szkolne

**DUŻY WYBÓR
 TANIO**

A. Antosik
Ulica Kościuszki 2.

Skład Papieru B-cia Kestenberg

LUBLIN

Krakowskie-Przedm. 62 i 54, telef.: 24-40 i 29-40

POLECAMY NA SEZON SZKOLNY

bogaty wybór materiałów piśmiennych po cenach niższych

SPRZEDAŻ HURTOWA wszelkich papierów oraz zeszytów,
 bruljonów i t. p. dla Samopomocy Szkolnych.

Redaktor odpowiedzialny dr. P. GDULA.

Redaktor Naczelny K. KOKOSIŃSKI.

Komitet Redakcyjny: Bier A. — Choiński W. — Chrostowska A. — Doleżko M. — Fiszhaut J. —
 Gilarowska H. — Gradowska K. — Hartwizanka J. — Kasperski Z. (Zamość), — Łagoda C. (Chełm) —
 Pawłowski Z. (Krasnystaw) — Pleskotówna K. — Pleśniarowicz J. — Romanowski H. — Skoczylas S. —
 Stankiewiczówna K. — Strachówna J. — J. Śmigieliska — Wellówna.

Wydawca: Samorząd Państw. Gimn. im. Het. J. Zamojskiego.

Administrator: J. Kogut.